

# Kazimierz Żak

---

## Wspomnienia

---

Rocznik Kolbuszowski 3, 9-28

---

1994

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

## Wspomnienia

*Kazimierz Żak urodził się w 1885 r. we wsi Wola Raniszowska położonej, niedaleko Raniszowa, w dawnym powiecie kolbuszowskim, jako dziewiąte dziecko z dziesięciorga rodzeństwa - rolników. Skończył cztery klasy szkoły wiejskiej. Jako małe dziecko pasał krowy, pomagał rodzicom w prowadzeniu gospodarstwa. W latach 1907-1909 odbył służbę wojskową w 17 pułku piechoty w Rzeszowie. Po odbyciu jej wrócił do rodzinnej wsi. Nie ożenił się i nie założył własnej rodziny. Tak doczekał się wybuchu, w dniu 1 sierpnia 1914 r., wojny niemiecko-austriacko-rosyjskiej i mobilizacji do armii austriackiej. Znalazł się znowu w 17 pp., teraz już w warunkach wojennych.*

Z początkiem 1914 r. miałem prawie dwadzieścia dziewięć lat, byłem kawalerem po odbytej służbie wojskowej, mieszkalem u rodziców i rodzeństwa we wsi Wola Raniszowska, w powiecie kolbuszowskim i pomagałem w pracy przy gospodarstwie. Życie nasze było ciche, niebogate, ale spokojne i swojskie. Rządziły nami miejscowe władze i cesarz austriacki we Wiedniu. Nagle w końcu czerwca tego roku gazety ogłosiły, że w Sarajewie, stolicy Bośni zamordowano arcyksięcia Franciszka Ferdynanda Habsburga, następcę naszego sędziwego cesarza - Franciszka Józefa I. Wieści nie były alarmujące i my, znając pokojowe usposobienie władcy, wcale nie pomyśleliśmy nawet, że to zabójstwo stanie się przyczyną wielkiej i długiej wojny światowej, w której i my, prości galicyjscy chłopcy będziemy brali udział.

Nagle 23 lipca dowiedzieliśmy się z gazet o wymianie ostrych not pomiędzy Austrią i Serbią. *Zaczęto* też wzywać wojskowych przebywających na urlopie do pułków. Potem wyszła wiadomość o wypowiedzeniu przez Austrię wojny Serbii. W sobotę 1 sierpnia ogłoszono powszechną mobilizację mężczyzn do lat czterdziestu dwóch. Kobiety uderzyły w płacz, a mężczyźni zastanawiali się, co będzie dalej. Przeciwko Serbii wystarczą niewielkie siły. Nie wiedzieliśmy jeszcze, że w tym samym dniu 1 sierpnia Niemcy i Austria wypowiedziały wojnę Rosji. Wnet dowiedzieliśmy się o tym z plakatu wywieszonego we wsi. Karty mobilizacyjne, imienne, przychodziły na posterunek żandarmerii. Dostali je moi koledzy i przyjaciele z mojej wsi i innych - Józef Adamczyk, Piotr Marut, Soja, Wyka i wielu, wielu innych. Dostałem ją i ja. Rodzice płakali, a ja pocieszałem ich, że trudno, muszę iść, ale wnet wrócę i wszystko będzie dobrze.

Następnego dnia 2 sierpnia, a była to niedziela, przyjechał do naszej wsi żydowską furmanką ksiądz z Rzeszowa, odprawił mszę św., dał różne pouczenia mężczyznom idącym do wojska, a nawet i tym, którzy pozostali w domach i pożegnał się mówiąc, że on też idzie na wojnę jako kapelan. Zrobiliśmy składkę

na tę mszę i pokrzepieni na duchu, po pożegnaniu z najbliższymi, zebraliśmy się, o godz. 13 koło naszej szkoły. Było nas kilkunastu: J. Kopeć, Franciszek Ozga, P. Rzeszutek, Staszek Sasiela, Józef Sidor, ja, Józef Żak i inni. Myny mieliśmy niewesołe. Smutek ścisnął serce, a łzy kręciły się nam w oczach. Nagle mała nasza wioska, jej domki, pola i drogi stały się nam bardzo kochane i drogie. Uporczywa myśl kręciła się w głowie, że może zginiemy na tej wojnie i nie zobaczymy już tego wszystkiego nigdy więcej. Na pożegnanie dzwoniło nam w dzwony kościelne. Otaczał nas tłum rodziców i znajomych. Serdecznie, ale krótko rozstałem się z bratem Michałem. Wsiadliśmy na stojące furmanki i ruszyliśmy do Raniżowa. Tu zatrzymaliśmy się, wstąpili do szynku, wypili po kieliszku i udali się dalej na wojenną wędrówkę. Alkohol trochę poprawił nam humory i jakoś zajechaliśmy już wieczór do Rzeszowa. Pojechaliśmy pod stację kolejową - ale był na niej wielki tłok. Przespaliśmy na naszych furmankach do rana. Potem zobaczyliśmy, że rzeszowskie ulice pełne były poborowych, a tu wciąż przyjeżdżali nowi, pełne ich fury. Rano pożegnaliśmy się z naszymi furmanami, przesyłając jeszcze ostatnie słowa do wioski i poszliśmy do koszar. Na ulicach Rzeszowa był ruch, jak w dzień odpustu, a podwórza szkół i innych budynków zajmowali rezerwiści.

Nas przyjęto w koszarach. Wcielono mnie, razem z Janem Chudzikiem, Sasielą i Andrzejem Pacyną z mojej wsi, do drugiej kompanii drugiego batalionu naszego 17 pułku piechoty. Do innych kompanii tego batalionu weszli: Kazimierz Bajek, Wojciech Duł, Wojciech Matejek, Wiącek i inni. W ciągu następnych dni umundurowano nas, uzbrojono, wyposażono i wysyłano na błonia na egzycyrkę (ćwiczenia). Któregoś dnia składaliśmy przysięgę na błoniach. Wtedy to przyjechała żona do jednego poborowego z Mazurów i mówi, że całe drogi pełne są wojska, sunącego na wschód. Wojska austriackiego oczywiście.

7 sierpnia powiedziano i nam w koszarach, że jedziemy na front. Wieczór modliliśmy się gorąco, odmawiając litanie do Matki Boskiej, śpiewając "Kto się w opiekę odda panu swemu" i inne pieśni. Myśli jeszcze raz leciały do domów, do swoich. Ale przestawiały się już na to, co miało nadejść.

8 sierpnia zerwano nas rano krótkim "aufstehen". W pełnym rynsztunku "sfergaterowali" nas, czyli zebrali na zbiórkę i zaprowadzili na dworzec. Tu dowódcy dowiedzieli się, że mamy iść do pociągu do Staroniwy. Poszliśmy i załadowaliśmy się na pociąg jadący do Jarosławia. W drodze jedni dalej się modlili, inni zaś wesoło śpiewali: "jeden szus, drugi rus". Ludzie pracujący na polach machali do nas czapkami i chusteczkami, co nas rozrzewniało. Chyba wysadzono nas już w Przeworsku i zaprowadzono na folwark we wsi Gniewczyzna, gdzie rozmieszczeni na podwórzu, staliśmy przez cały tydzień. Mieliśmy tu znowu egzycyrkę i służby wartownicze. Żywiono nas nienadzwyczajnie, ale byłem zadowolony, że w dniu Matki Boskiej Zielnej pomodliłem się w kościele. Jednego dnia zobaczyliśmy po raz pierwszy nad nami areoplan, samolot. Nasi żołnierze strzelali do niego i uszkodzili go, chociaż był to areoplan austriacki. Tu jakiś podoficer z Tarnobrzieskiego zbierał pieniądze na mszę do Leżajska.

17 sierpnia po południu poderwano nas i poprowadzono do Sieniawy. W nocy przekraczaliśmy za tą miejscowością granice Królestwa Polskiego. Gdyśmy to czynili, niektórzy żołnierze krzyczeli "hurra". Ja jednak westchnąłem do Boga z prośbą o pomoc i opiekę. Cały nasz marsz po piaszczystych drogach był bardzo męczący. Sunęli obok siebie razem, piesi, konni i wozy. Oficerowie jechali na koniach, albo zabierali po drodze chłopów z furmankami i kazali się wieźć. Zabierali na nie czasem jakiegoś marudera, słabeusza. Ludzie tu byli bardzo

skupieni. W jednym domu mieściło się dwie, trzy rodziny. Witali nas oni niechętnie i chociaż mój pułk był polski, nie chcieli sprzedawać nam żywności. Staliśmy wśród nich przez trzy dni. Potem poszliśmy dalej. Dnie były upalne. Oblewał nas pot i oblepiał kurz, przytłaczał tornister i karabin. W miasteczku Tarnogród były już wywieszane flagi austriackie i poumieszczone polskie napisy na cześć Austrii i cesarza. Szliśmy dalej, ale niechętnie, bardzo zmęczeni. Oficerowie pocieszają, że już niedaleko. Dali jednak krótki "Rast", odpoczynek. Złożyliśmy rynsztunek na ziemi i popili wody, a tu już trzeba iść dalej. W jednej wiosce zobaczyliśmy pierwszy wojskowy grób Polaka z 6 pułku, ułana. Za parę godzin znaleźliśmy się w miasteczku Biłgoraj. Złożyliśmy broń w kozły, na rynku i rynsztunki. Każdy z nas już miał na plecach czerwone pasy, odpieczone od rzemieni tornistra. Co będzie dalej? Menażowaliśmy, czyli spożywaliśmy posiłek, bo żołądek upominał się mocno o swoje prawa. Rozeszliśmy się po domach. Tutaj ludzie byli inteligentniejsi, weselsi, przyjemniejsi dla nas. Mówili, że chleba nie mają, ale sprzedali nam ciastek, słoniny, papierosów i wódki. Częstowali nas herbatą nazywaną czajem. Potem wróciliśmy się na rynek, do naszych rzeczy i spędziliśmy przy nich noc w pogotowiu, bo dolatywały do nas z oddali - pierwsze strzały armatnie.

Na drugi dzień, a był to zapewne 21 sierpień pomaszerowaliśmy, o świtaniu, drogą przez wielki las. Szliśmy pół dnia, coraz bliżej strzałów. Wiedzieliśmy, że zbliżamy się do linii frontu. Ze idziemy w bój. Po południu był wypoczynek. Spożywaliśmy tylko własne zapasy. Ja zjadłem posiadany kawałek chleba ze słoniną. Po pewnym czasie szliśmy dalej przez las, aż wyszliśmy na jego skraj, gdzie stały konie i artyleria. Słychać wyraźnie wycie pocisków. Kaza - po niemiecku oczywiście - wyjść na pole i uformować się w szereg. Wychodzimy. Las już nas nie kryje. Idziemy machinalnie, z rezygnacją w stronę jakiejś wioski. Trzeba przejść przez rzeczulkę i piąć się pod dosyć wysoki pagórek. Niektórzy zmęczeni żołnierze pozostają w tyle. Nasz młody dowódca, niemiecki leutnant czyli porucznik, popędzał ich, płazując szablą. Idziemy w szwarmlinii, tyralierze, to kładziemy się na ziemi, gdy wyją nad nami pociski. Tornister tak ciąży i sterczy jak garb. Wtedy nie wiedziałem jeszcze, że te pociski to lecą z naszej strony, że to strzela nasza artyleria. Myślałem tylko o tym, jak one strasznie gwizdzą. Posuwaliśmy się pomału po wielkim, lekko pofałdowanym polu. Ludzie słabli ze zmęczenia i zdenerwowania. Sanitariusz Pikor z Nienadówki podawał im krople. W pewnej chwili nastąpiła cisza, po czym zaświstało nam koło uszu. Dostaliśmy ogień z boku. Towarzysz mój z lewej strony upadł na ziemię. Zaraz wszyscy rzuciliśmy się na nią, ale my podnieśliśmy się, gdy ogień ustał. On już nie dźwignął się. Wzięliśmy go z sobą, ale wkrótce zmarł. My zmieniliśmy kierunek i poszliśmy. Szliśmy tam, skąd dostaliśmy ogień. Nagle omdlał kpr. Cuzytek. Wlałem mu do ust trochę kawy z feldflaszki (butelki polowej), zostawiliśmy go w cieniu jakiś krzewów i poszliśmy dalej, ledwie dysząc. Znowu bez walki, zbliżyliśmy się do jakiejś wioski. Kazano mam obsadzić bagnety na karabiny i zająć wieś. Czyniliśmy to, a żołnierze wdychali do Boga. Nawet ci, co nie robili tego wcześniej. Weszliśmy pomiędzy zabudowania i w szwarmarmi czyli sekcjami, przeszukiwaliśmy budynki. Twarze moich kolegów stały się dzikie i drapieżne. W stodołach zobaczyliśmy Rosjan. Nie bronili się, lecz poddawali. Mój Zug czyli pluton wyprowadził z jednej ze stodoł osiemnastu rosyjskich jeńców. Zabrał też dziesięć koni z jaszczykami. W jednej chwili, 300 metrów ode mnie wyskoczył z konopi żołdat i uciekał. Podniecony, posłałem mu dwa strzały, ale nie sprawdziłem ich wyniku. Opuściliśmy zabudowania i poszliśmy dalej.

Nagle uderzyła w nas seria z karabinów maszynowych. Wpadliśmy w jakąś fosę, w której leżało mnóstwo rzeczy porzuconych przez Rosjan: torb, płaszczy, celt, łopatek itp. Jeden kapitan nasz, będący z nami, żartował, wyciągał cukier z leżących woreczków i jadł. Ja odczuwałem wstręt. Gdy strzały umilkły, poszliśmy dalej i położyli w ziemiankach. Wnet dostaliśmy rozkaz zbierania się w kompaniach. Ale w tym forykunku czyli natarciu, żołnierze wszystkich kompanii tak się wymieszali, że trudno było znaleźć swoją kompanię. Szukałem jej. Przechodziłem z kilkoma kolegami przez pobojowisko. Gdzieś tam stała rozbita armata z połamanymi kołami, leżały konie z wyciągniętymi karkami i wzdymającymi się brzuchami i żołnierze w zielonych mundurach, olbrzymie chłopcy. Niemiły widok. Cofnęliśmy się do wioski i tam odnaleźliśmy naszą kompanię. Cieszyliśmy się, że żyjemy po pierwszej bitwie. Zabitych w pułku mieliśmy tylko dziesięciu, rannych ze trzydziestu. Pozostaliśmy w wiosce na noc i spaliliśmy w sadzie. Menaży nie dostaliśmy żadnej. Kupiłem więc u Żydówki trochę ziemniaków i parę jaj. Pożyliśmy się z towarzyszymi. Rano dali nam dowódcy po konserwie, zaprowadzili poza wieś i kazali kopać dekunki czyli okopy. Na południowy menaż zlizowali nas inni. Zjadłszy, wyprałem sobie bieliznę. Nasz Zug, pluton był w Breitszafcie, pogotowiu. Na noc dostałem służbę. W ciemności ciężko chodziło mi się po polu porośniętym krzakami. Ale rano nadeszło. Wnet potem, a był to 25 dzień sierpnia, kompanie naszego pułku pomaszzerowały dalej. Na wczorajszym pobojowisku były już groby poległych. Zrobili je mieszkańcy wsi, grzebiąc zabitych. Teraz zakopywali konie. Potem zbierali pewnie ubrania, broń, amunicję. My zaś szliśmy. W mijanych wioskach ludzie wychodzili naprzeciw nas i cieszyli się z nami. Razem z żołnierzami zrywali różne znaki rosyjskie. A my szliśmy ładną równiną w stronę Lublina. Widzieliśmy dawny polski klasztor zamieniony na cerkiew i wieś z trzema kościołami. Po południu stanęliśmy. Oficerowie przeglądali lornetkami okolicę, potem odezwały się nasze armaty. Nas piechurów skierowano w lewo, to jest na zachód. Za chwilę zwrócono nas na północ i potem w stronę południowo-wschodnią, ku lasowi. Kazali iść. Przeszliśmy lasek i doszli do nowej wioski. Tu zaczęły furczeć nad nami pociski. Wywiesiliśmy fanki - chorągiewki, żeby nas nie ostrzelali nasi. Byliśmy spragnieni i spoceni. Ludzie z wioski podawali nam wodę, a my szliśmy do folwarku poza wsią. Tu właściciele rozdawali chleb i jabłka, ale żołnierze zrobili taki tłok, że ja nie cisnąłem się. Po opuszczeniu folwarku weszliśmy na łąki pełne trzęsawisk i tu spadł na nas znowu ogień nieprzyjacielski. Pędzimy naprzód, padając co chwilę na trawę i w wodę, żeby dopaść niedalekiego lasu. Oblani potem, dobywamy ostatków sił, żeby tylko znaleźć się wśród drzew, a kulki brzęczą. Ciężka chwila. Niektórzy koledzy padają. Ja mam już blisko do lasu. Nagle drogę przecina mi szeroki rów, pełen wody. Czuję, że go nie przeskoczę, ale skaczę. Wpadłem w wodę do połowy piersi. Chwytam się trawy na brzegu i wychodzę nań. Jestem już, razem z innymi w lesie. Ogień trwa, potem słabnie i ustaje. Była to nasza druga bitwa. Zbieramy się w kompanie. Z moich stron zostali tu ranni Duł z Ranizowa i Matejek z Woli. Ja dzięki Bogu, mam jakoś szczęście wychodzić cało spod kul. Idziemy dalej przez trzęsawiska. Las się skończy. Przed nami znowu folwark. Państwo przyjmują nas chlebem, masłem i mlekiem na równi z oficerami. Nocujemy. Ja skąpany w wodzie, zmieniłem bieliznę i lederszuły - skórzane buty. Rano umyliśmy się rosą z młodej koniczyny i zabraliśmy się do kopania dekunków poza folwarkiem. Potem rozwinęliśmy się linią bojową i ruszyliśmy na nieprzyjaciela. Posuwaliśmy się pod górkę pod ściernisko i wielki łąn łubinu.

Ujrzelismy ruskie okopy i rozpoczeliśmy ogień. Wróg odpowiedział tym samym. Czołgamy się po ziemi, a kulki świszczą nam ponad głowami, które mimowolnie tulą się do ziemi. Moja kompania strzela, inna kopie rowy. Zawrzała zacięta bitwa. Jestem na lewym skrzydle linii. Od przodu posuwają się ku nam Ruscy. Strzelam, ale niestety kończą się nam patrony, naboje. Wołamy - patrony, ale nikt ich nie donosi. Ruscy są coraz bliżej. Nagle nasza szwarmlinia załamuje się. Żołnierze uciekają do tyłu. Skoczyłem więc i ja za gradami kul. Tu leci na ziemię zabity, tam ranny. Ci, co są cali myślą o sobie i biegną co sił z górki w dolinę. Mnie oddech zamyka, pot się leje, nogi stają się kołkami. Już nie mogę. Wlokę się pomału. Niech będzie, co Bóg da. A Bóg jakoś pomaga. Dochodzę do drogi, gdzie zbiera się grupa naszych. Padamy na ziemię i ciężko oddychamy. Tu kule nie dochodzą. Po odpoczynku idziemy do folwarku. Zjadam jabłko z kęsem chleba, żeby się pokrzepić. Oficerowie zbierają nas i spisują brakujących. Liczą karabiny maszynowe - maszynogewery i mówią, że bitwa nie jest przegrana, chociaż żeśmy się cofnęli. Mielismy przeciwko sobie wielką siłę nieprzyjaciela. Dziś 26 sierpnia inne nasze oddziały zdobyły Zamość.

Po uporządkowaniu się, małym odpoczynku i otrzymaniu naboji, poszliśmy kilka kilometrów. Obeszliśmy wyżynę z Ruskimi. Już wieczór zatrzymaliśmy się, okopali i jedni odpoczywali, a inni stróżowali. Był 27 sierpnia. W południe zatrzymaliśmy się koło jakiejś cerkwi zamienionej na szpital. Dostaliśmy po jednym chlebie na pięciu żołnierzy i po trochę kawy. Ukopaliśmy ziemniaków i ugotowaliśmy, potem znowu pomaszzerowaliśmy długo w noc. Tak samo było i następnego dnia. Odczuwaliśmy głód. Rwaliśmy marchew pastewną po drodze, bób i jedliśmy na surowo. Ale przyjechała kuchnia i zjedliśmy obiad. 29 sierpnia dalej szliśmy. W lesie zobaczyliśmy grupę jeńców prowadzonych przez żołnierzy. My stanęliśmy na leśnym brzegu. Przed nami leżała wioska. W pewnej chwili stanęła ona w płomieniach. Złożona w niej amunicja strzelała w ogień. Pod wieczór kazano się nam cofnąć na miejsce wczorajszego noclegu. Po drodze spotkaliśmy porzucone gwery - karabiny, tornistry, zakrwawione części odzieży naszych żołnierzy. Kuchnia nie przyjechała i trzeba było o głodzie kłaść się do snu. Zjadłem posiadaną konserwę i przespałem się w chłodzie na ziemi. Rano zafasowaliśmy po porcji cwibaku i znowu po konserwie i marsz. Podeszliśmy na wyżynę. W południe dostaliśmy rast - odpoczynek i po trochę chleba. W pobliżu wały się rozbite rosyjskie, wozy i rozmaite przedmioty. Wystaliśmy patrol zwiadowczy i przygotowaliśmy się do marszu. Wtem rozległy się strzały. Zdawało mi się, że szrapnel pękł mi tuż pod samą głową. Krzyknąłem - Jezus Maria i zdrętwiałem z przerażenia. Ale czuję, że jestem cały. Kapitan Wolf mówi - to nasi. Ale chyba nie nasi. Szrapnele pękają dalej. U nas wszystko się zakotłowało. Konie oficerskie uciekają bez jeźdźców, kuchenne wznoszą przednie nogi do góry. Ludzie uciekają. Obok mnie biegnie major, człowiek ciężki, otyły. Dopadamy lasu. Jaka ulga. Pot spływa po nas jak woda. Wita mnie Franek Kolano i częstuje jabłkiem. Jakoś przenocowaliśmy, a 31 sierpnia znowu poszliśmy naprzód. Szliśmy cały dzień pod Krasnystaw. Miasto to stało w płomieniach. Przenocowaliśmy pod nim z bronią w ręku, osłaniając się snopkami owsa. Noc była zimna i wietrzna. Rano zrobiliśmy szwarmlinię i posuwaliśmy się naprzód, omijając Krasnystaw. Nieprzyjaciel cofał się. Weszliśmy do jakiejś wsi i rozłożyliśmy lagrem (obozem) koło młyna. Paliliśmy ognie, piekli ziemniaki, jedli owoce. Ja z Giczą, szeregowcem z Bukowiny gotowałem jakąś maczną polewkę. Potem znowu marsz. Przechodziliśmy przez jedną i drugą wieś. Z oddali dochodziły do nas strzały. Ale noc przeszła spokojnie. Mnie z kilkunastoma kolegami wysłano

na bok jako ubezpieczenie. Ale rano nie znaleźliśmy swojej kompanii. Musimy się przyłączyć do kompanii czwartej. Szkoda, bo nasza zafasowała wtedy chleb i konserwy. Był to dzień 2 września i toczyliśmy walkę pod Lublinem. Po południu i nasza kompania weszła w linię bojową. Posuwamy się naprzód, pod otwartym ogniem. Pada jeden krajan z Kolbuszowej. Podnosimy go z kapralem Wargackim z Brzostowej Góry i kładziemy pod stogiem siana. Wieczorem nasi nie wytrzymują i cofają się w popłochu. A widzieliśmy już z naszej pozycji Lublin i tor kolejowy. Cofam się i ja. Wielu naszych padło albo dostało się do niewoli. Dostałem się z Dułem i Marutem do jakiejś wsi. Nie możemy odnaleźć naszej kompanii, bo kompanie, a nawet pułki, są pomieszane. Szukamy po domach pożywienia. Niezmiernie ciężko jest go zdobyć. W końcu jakaś kobieta ugotowała nam ziemniaków i posileni położyliśmy się spać pod strzechą, obok orkiestry wojskowej i rannych. Rano, 3 września rozglądaliśmy się za jakimś śniadaniem, ale zobaczyliśmy jadące na południe wozy amunicyjne naszego regimentu. Uczepiliśmy się ich i ruszyli w drogę. Wnet zrozumieliśmy, że nasi, to jest wojsko austriackie, cofają się, uciekają przed Ruskimi. Suną na południowy zachód wozy, kawalerzyści, piesi. Na drodze spotykamy kolegów z kompanii w szwarmlinii, zabezpieczają odwrót wojska. Smutne to, ale cóż zrobić, i my się cofamy. Dokucza nam głód. Znajdujemy po drodze kości z mięsem, wyrzucone z kotłów. Podniosłem kawałek i spróbowałem. Dało się zjeść. Zjedliśmy. Zaczął padać deszcz. Ruszamy w drogę. Tu i ówdzie wała się sprzęt wojskowy. Znowu spotykamy ludzi z naszej kompanii, kadeta Kowala, Błażeja Jamrozika i innych. Mówią, że nasz pułk dopiero co poszedł. Jest niedaleko. Pospieszaliśmy i wnet spotkaliśmy z półtorej kompanii, z naszego dawnego 17 pułku. Wtem zaczęły padać koło nas pociski. Doszliśmy do lasu. Byliśmy przemoczeni, zziębnięci i głodni. Trzymałem się z Rębiszem z mojej wsi, z Rogalnym z Wilczej Woli, z Gilem, Pacyną i innymi. W lesie tym podzielono nas na nowe cugi czyli plutony, kompanie, naznaczono szarże, ustawiono w szwarmlinie i wyprowadzono na pole. Wnet się ściemniało, a my podkopaliśmy ochrony i pozostaliśmy na noc. Siedziałem w jamie okryty celtą, jak zając. Mówiono, że osłaniamy nasz cofający się trem. Mówiono też, że nieprzyjaciel napadł na trem, rozbił, zabrał z niego wiele rzeczy, w tym i kasę pułkową. Żołnierze szemrali, że dowódcy wszystko trzymają, nas morzą głodem, a wróg zdobywa łup. Poleżeliśmy jeszcze trochę w dekunkach, potem cofaliśmy się do lasku. Sypnął się na nas ogień. Z lasku poszliśmy dalej - do wioski. Szukaliśmy jedzenia. Dobrzy ludzie dali nam ziemniaków, chleba i mleka. Byliśmy im bardzo wdzięczni, znów pokrzepieni na ciele i podniesieni na duchu. I tak maszerowaliśmy dalej przez kolejne dni, spotykając wszędzie nasze oddziały rozbite, dezorientowane, zmęczone, ogarnięte paniką. Za nami ciągnęli Ruscy. Czasem Kozacy ze spisami podjeżdżali tuż pod nasze szeregi. Pierzchali, gdy daliśmy im ognia. Niektóre kompanie nasze zatrzymywano dla powstrzymania nieprzyjaciela. Tym nie było łatwo. Wielu ich członków pozostawało na polu, inni przedzierali się z trudem. Mijaliśmy wsie. Czasem Zintenbergier kazał podpalać w nich domy. Wznieciliśmy pożary. 5 września stanęliśmy na jakimś wzgórzu. Kazano nam kopać głębokie dekunki. Za nami ustawiła się artyleria, -Artilleri. Tu stawialiśmy opór Ruskim przez trzy dni i trzy noce. Słuchaliśmy - zdawało się bez końca, ryku armat naszych i obcych i wycia kuł. Pole wkoło nas poryte było jak sito. Ale straty nasze w ludziach nie były wielkie. Dekunki chroniły. Tutaj raz na dzień dojeżdżały do nas kuchnie, do pobliskiego wąwozu i dostawialiśmy obiad. Dano nam też przed bitwą po dwie fleischkonserwy i

chleba na trzy dni. Jeden bochenek na osiemnastu ludzi. Pożywienie to uzupełnialiśmy kłosami zboża i ziarnkami bobu, znoszonymi w nocy do dekunków z pól. Żuliśmy to na surowo. Tylko palić nie było co. W tych dekunkach opadła mnie melancholia. Westchnąłem jednak do Boga, podziękowałem za dotychczasowe dobrodziejstwa, prosiłem o dalszą opiekę i czyniłem ślub, że zrobię coś na jego chwałę, jeżeli pozwoli mi powrócić szczęśliwie do domu, bo przecież posuwaliśmy się w jego stronę.

Trzeciego dnia wieczór kpt. Wolf kazał nam się cofać. Artyleria zrobiła to już wcześniej. Szliśmy całą noc przez zarośla i parowy. Kto upadł, zostawał. Ja wlokłem się, chociaż nogi miałem ciężkie jak kłody, a ramiona i plecy bolały od tornistra i karabinu. Przechodziliśmy przez jakieś miasteczko, pełne naszych wozów. O świcie stanęliśmy na polu pod jakąś wioską. Postawiono celty (namioty) i dawano menaż. Żołnierze tak tłoczyli się po niego, że oficerowie strzelali w górę z pistoletów. Ale menaż była tak licha, że nie warto było się po nią pchać. Poszliśmy do wioski po ziemniaki. Potem położyliśmy się na ziemi do spania.

Rano, a był to dziewiąty dzień września, naszemu kapitanowi zachciało się egzycyрки. Robiliśmy w pełnym ryszunku, fortatrunki w laufszyrcie czyli zbiórki w biegu - i nider, to jest padnij. Żli, sypaliśmy przekleństwami, co niemiara. W końcu major odwołał nas na menaż, złożony tylko z kawałka chleba. Staliśmy tu dwa dni. Z daleka dochodziły do nas strzały armatnie. Trzeciego dnia, przed świtem poszliśmy dalej. Było gorąco. Drogami ciągnęły wozy cywilne i wojskowe. Koło południa "zarastowaliśmy" w jakiejś wsi. Ruszyliśmy do domów za pożywieniem. Znaleźliśmy w jednym z domów, chociaż gospodyni mówiła, że ma tylko trochę masła i chleba. Na drodze rosły śliwki. Mieliśmy więc ucztę. Potem poszliśmy dalej. Na noc stanęliśmy w innej wiosce. Nie chciało się nam pytać nawet o jej nazwę. Niektórzy moi towarzysze mówili, że lepiej było zostać zabitym, niż tak się męczyć tym marszem. Ja jednak cieszyłem się, że jestem cały, zdrowy, że żyję. Zbliżaliśmy się do naszego kraju, do Galicji. Szliśmy dalej po wielkich piaskach, tak, że ciężkie haubice posuwały się z trudem. Myślałem, że nie wpuszczą nieprzyjaciela do nas, że zrobią opór na granicy galicyjskiej. Ale gdzie tam! Przechodzimy *przez* most na jakiejś rzece, chyba na Tanwi, potem przez granicę. Jest sobota. Mży deszcz. Pierwsza wioska w Galicji, przez którą przechodzimy nazywa się Bukowa czy też Bukowina. Cieszę się w duchu, że wracamy w swoje strony. Ale ludzie patrzą się na nas pytająco i pytają, gdzie idziemy. Na noc stanęliśmy w jakiejś większej wiosce nad Sanem. Sasiela pojechał nocą do Rudnika po tytoń. Ja czułem się słaby, więc zasnąłem w jakimś sąsiadku, w prośniance. Inni koledzy mieli w żarnach kobiecie żyto. Ona piekła chleb i sprzedawała go. Rano zafasowaliśmy po konserwie, troszce chleba i ruszyliśmy dalej. Był czternasty dzień września. Idziemy koło Kamienia, drogą na Sokołów. W stronę mojej wsi. Ale wnet cofają nas znowu kilka kilometrów ku Kamieniowi. Mówią, że nasi zadali Moskalom klęskę koło Leżajska. Wystawiono mnie z innymi na feldwachę. Myślę: Jak daleko są Rosjanie? Jak się będą tu zachowywać? Ludzie boją się ich. Mieszkańcy miast uciekają aż do Austrii. Co tam słyhać w moim domu? Rano ściągnięto nas z warty. Przebieram koszulę i po raz pierwszy widzę na tej, którą ściągamy - wszy. Idziemy na Sokołów. Koło tegoż miasteczka skręcamy na Guty. Piszę karteczkę do domu i podaję ją przez spotkaną Suską z Mazurów. Donoszę, że jestem, że przechodzę przez nasze strony. Dostajemy - po raz pierwszy w tej wojnie, jakąś wypłatę. Po dwadzieścia koron, przydadzą się. Po przejściu sokołowskiego lasu, skręciliśmy na Raniżów, Pogwizdów. Miałem tu znajomych. Odwiedziłem ich i zostałem solidnie ugo-



szczony. Staliśmy tu dzień i dwie noce. Odnalazły mnie matka i siostra. Bardzo się z tego ucieszyłem. Dostałem wiadomość o rodzinie. Radziłem jej, żeby nigdzie nie uciekała przed Moskalami, żeby siedziała spokojnie w domu.

Zaraz potem poszliśmy dalej. Był to siedemnasty czy osiemnasty wrzesień. Idziemy na Kolbuszową. Stajemy na noc za tym miasteczkiem, w Przedborzu. W nocy od strony Ranizowa widać łuny ogniowe i słychać strzały armatnie. Wchodzi tam Rosjanie. Boże, bądź miłosierny. Idziemy przez Sędziszów, Ropczyce pod Dębicę. Nocujemy w Paszczynie w celtach. Pożywiamy się po domach ziemniakami i mlekiem. Pada deszcz. Miałem wartę nocną. Maszerowaliśmy na Tarnów. Drogi stały się błotniste. W Gumniskach staliśmy na folwarku ze trzy dni. Nowy nasz major przemawiał do nas jako do Mazurów, żebyśmy się nie dali Ruskim. Żałował nas, żeśmy cierpieli głód pod Lublinem. Mówił, że będzie lepiej, że zwyciężymy. Potem poszliśmy jeszcze za Tarnów. Stanęliśmy i to na cały tydzień, koło jakiegoś budowanego kościoła. Kopaliliśmy dekunki. Ruscy byli niedaleko. Raz chodziliśmy całą kompanią z majorem przez noc, chcąc zdobyć trochę wiadomości. Nie spotkaliśmy nikogo prócz patroli. Za to cug Sasieli wysłany na patrol miał spotkanie z Kozakami, ale cofnął się bez szkody. W świętego Michała byłem na hauptpoście - czyli głównym posterunku i na patroli łącznikowej. Zaszedłem do wsi, zjadłem kapusty, kupiłem chleba. Widziałem po drodze kryte dekunki, obsadzone ciężkie kanony i miny. Na polach leżały narzędzia gospodarskie i różne przedmioty, powynoszone z domów. W jakiejś skrzynce leżała książeczka do nabożeństwa. Wziąłem ją sobie i modlenie się z nią sprawiało mi wtedy i później wiele radości. Za Tarnowem staliśmy niedługo. Moskale byli tutaj ze dwa tygodnie i zostali na początku października 1914 r. odepchnięci. My zaś ruszyliśmy za nimi na wschód. Moja kompania szła znowu przez Tarnów, ale teraz została skierowana na północ, na Radomyśl Wielki i Mielec. Do Radomyśla przyszliliśmy któregoś dnia wieczór. Padał deszcz. Zakwaterowaliśmy się w szopach. Dużo żołnierzy, rano, poszło do miasta, co nie podobało się oficerom i po obiedzie zrobili nam alarm i wyprowadzili na pole w celty. Na dzień św. Franciszka, w imieniny cesarskie, dawano żołnierzom piwo i rum, ale moja kompania tego nie dostała. Przed dniem poszliśmy dalej. Wisłokę przechodziliśmy pod Mielcem i szliśmy przez cały dzień. Nocowaliśmy w Jaślanach. I znowu szliśmy na Jadachy, a na wieczór stanęliśmy w Cyganach. Padał deszcz i sypały się śnieżne krupy. Nawet nie cieszyłem się, że zbliżam się do swoich stron i że nie ma w nich Moskali. Nie dano nam spać, tylko ogłoszono alarm i kazano iść. Podobno mieliśmy pochwycić nieprzyjaciela. Zmoknięci, dygocący z zimna, zakwaterowaliśmy w nocy w stodole w Stalach. Tu cywile opowiadali, że w nocy były patrole kozackie i rabowały. Rano poszliśmy do Grębowa. Umieściłem się z kolegami w domu żydowskim, zjedliśmy obiad i odpoczywaliśmy. Około trzeciej po południu alarm i dalszy marsz. Z lewej strony słychać było odgłosy wielkiej bitwy. Grzęźniemy w błotnistej drodze. Wpadłem aż po kolana w trzęsawisko. Towarzysz pomógł mi się z niego wydobyć. A tu oberleutnant (nadporucznik) krzyczy na cugskomendantów, żeby żołnierze szli w porządku zeszlusowani, środkiem drógi. Stanęliśmy na chw/ile. Niektórzy padają ze zmęczenia na mokrą ziemię. Już idziemy na pole. W kierunku ognia. Do bitwy. Kulki zaczynają świstać. Jednak zmieniono rozkaz. Cofnięto nas do tyłu i kazano nocować w polu. Był przymrozek, dotkliwie zimno. Co będzie dalej? Ja miałem feldwachę.

Rano poszliśmy przez Kotową Wolę pod folwark w Turbii. Stąd posłano nas przeciwko artylerii, ustawionej niedaleko. Padliśmy na ziemię a armaty odezwa-

ły się. Padło trochę z naszych. Wśród nich i nasz oberleutnant. Kazano się cofnąć. Poszliśmy do wioski. Okopy podchodziły pod ściany jej domów. Po wcześniejszej bitwie leżały jeszcze trupy. Jeden z papierosem w ręku. Z wioski poszliśmy za rzekę w las. Poleżeliśmy w nim przez jakiś czas, chyba dla odpoczynku, potem poszliśmy za Turbię, gdzie stanęliśmy. Głód i zimno nam dokuczało. Niektórzy rozbiegli się za jedzeniem. Za chwilę szliśmy dalej, doszliśmy do miasta Rozwadów. Rozeszliśmy się po domach. Przespałem się u jakiegoś Żyda na kanapie. Dobrze, że w cieple. Rano Moskale atakują Rozwadów. My chronimy się to za jeden, to za drugi dom. One się walą. Czekam na pół zdętwiały, kiedy coś uderzy we mnie. Ale nie uderza. A strzelanina ustaje. Pędzą jakieś same konie artyleryjskie. Przyszli ułani po nie. Patrzą na miasto. Kopuła kościoła cała, ale na dachu dachówka leży tylko gdzieśgdzie. Tu dom ma rozbitą ścianę, tam zwinięty blaszany dach. Na rynku i ulicach doły od pocisków. Szukam swoich. I nagle odzywa się we mnie głód. Wkrótce madziarska (węgierska) kuchnia wydaje zupę fasolową. Dostałem i ja szelkę, ale w natłoku koledzy potracili mnie i zupa poszła na ziemię. Och, jak było mi jej żal. Potem umieszczono nas w budynku sądu i dano menaż. Pragnęliśmy zanoć. Ale gdy się ściemniło - posłano nas dalej. Jednak tylko na hauptpost. Wróciliśmy do Rozwadowa i staliśmy w nim pięć dni, a wróg co jakiś czas ostrzeliwał miasto. Drożyzna była tutaj wielka. Za szklankę mleka gospodarz żądał dziesięć centów, za bochenek chleba siedem reńskich. Sprytny Sasiela kupił wieprza, zabił i mięso rozsprzedał. Ucztowaliśmy.

Pewnego ranka wymaszerowaliśmy w kierunku Niska. Szło nas po trzy kompanie z każdego pułku z naszej dywizji, na pomoc naszym, operującym tutaj. W lesie przed miastem dostaliśmy obiad, trochę chleba, ćwibaku i patronów. Marsz trwał prawie przez cały dzień. O zmroku przechodziliśmy przez znajome miasteczko. Każdy z nas modlił się w duchu prosił Boga o opiekę. Sasiela szedł z odkrytą głową. Za miastem skręciliśmy na drogę. Ustawiono nas w glid, szereg i nakazano ciszę. Weszliśmy na pole. Położyliśmy się i zaczęli kopać dekunki. Nie miałem łopatkę i prawie rękami zrobiłem sobie dołek. Po jakimś czasie spadł na nas ogień. Kilku naszych zostało rannych. Ale ogień wnet ustał. Doczekaliśmy się świtu. Wtedy utworzyliśmy szwarmlinę i w angrifie (natarciu) poszliśmy naprzód. Obok mnie niesiono maszynę czyli karabin maszynowy i szedł nadporučnik. Zrobiliśmy kilkaset kroków i nagle nasi na skrzydle zaczynają się cofać. My padamy na ziemię, ale wnet podrywamy się i lecimy do tyłu, do dekunków. Moskale biją sprzed i zza Sanu. Pociski dochodzą do nas. Tu zginął mój kolega Sasiela. Był z dala ode mnie i nie widziałem tego. Koledzy potem opowiadali, że przy wskakiwaniu do dekunku, czy wyskakiwaniu z niego dostał kulą w głowę. Ktoś zaczął odpinać mu tornister, a on machnął ręką, jakby dawał znak, że nie trzeba. Wzięli mu czterdzieści złotych, które miał przy sobie, jedzenie, tytoń. Pieniądze mieli dać do kancelarii. Zginęli też bracia Wojciechowscy, Sondej z Zembrzy, rodem z Posuch, został ranny i coś stało się z Frankiem Ozgą. Nie wiem, ranny czy zabity. Dekunkami cofnęliśmy się do wsi Raclawice. Tu nas zebrali, uporządkowali i znowu zaprowadzili na pole do dekunków. Jeszcze raz prowadzili nas do natarcia i tak samo żeśmy się wycofali. Strzały trwały. Nie tylko strzały, straszna kanonada z jednej i z drugiej strony cniem i nocą. Ktoś krzyczał. Dookoła paliło się. Długo płonął kościół w Raclawicach. Bitwa pod Niskiem trwała prawie tydzień, do 20 października. Moją kompanię na trzeci dzień ściągnięto do wsi, dano trochę chleba, papierosów i posłano w inne miejsce, gdzie ognia prawie nie było. Za to byłem słaby na brzuch. Potem odeszliśmy,

tak jak przyszlismy do Niska i Rozwadowa. Stąd do Sandomierza - pięknego miasta na wzgórzu z kilkoma kościołami. Znowu więc weszliśmy do Królestwa. Okolica ładna. Teren pofałdowany, ziemia dobra. Dużo obszarów dworskich, a wioska daleko jedna od drugiej. My posuwamy się coraz to dalej. Ludzie patrzają na nas niezbyt przyjemnie. Na polach rośnie rzepa. Tak by się ją urwało i zjadło, ale nie wolno.

W drugim dniu marszu dochodzą do nas odgłosy armatnich strzałów. Naprzeciw nas jadą drogą lub wloką się ranni. Bośniacy i nasi 40 pułku. Tu gdzieś niedaleko zostali oni rozbici. Nocowaliśmy jedną noc na jakimś folwarku na hauptpoście. Tu zasnąłem w jakimś kącie razem z kolegą Maliborskim z Krzątki, a nasza kompania odeszła, zabierając nasze gwery (karabiny). Biegliśmy później za nią i znaleźliśmy ją, ale cugsfirer (plutonowy) spoliczkował nas i zrobił awanturę, żeśmy odstali. W nocy był menaż i znowu marsz, wśród zimnego wiatru. Detonacja trwała. Trzeciego dnia, po południu zatrzymano nas pod jakąś wioską i kazano kopać dekunki. Czekaliśmy w nich potem dwa dni na nieprzyjaciela. Nie nadchodził. O świcie trzeciego dnia, w końcu października, a może już 1 listopada, kpt. Ekier poprowadził nas naprzód. Teren był nierówny. Zimno przenikało ciało. Wtem artyleria nieprzyjacielska sypnęła pociski na pierwsze nasze szeregi. Padają zabici i ranni. Saniteci próbują ich zabierać na hil-fspunkt. Punkt pomocy. Nagle spada na nas jakiś nasz cug, uciekający z linii bojowej. Panika ogarnia i nasze szeregi. Załamują się, zwracają w tył - i uciekają. Ja też uciekam. Przechodzimy w bród jakąś rzeczkę i suniemy pod górkę. Ruscy są już blisko, strzelają i krzyczą. My biegniemy. Niektórzy zrzucają ryszunki, żeby mieć lżej. Ja trzymam wszystko co moje. Myślę, że Bóg może znowu pomoże mnie niegodnemu. Nie jest mi już zimno, tylko gorąco. Jakiś kapitan przelatuje wśród nas na koniu jak wiatr. My wpadamy do dekunków, które rano opuściliśmy. Pościg ustaje, więc jesteśmy uratowani.

Spędziliśmy w tych dekunkach noc i dzień. Drugiej nocy opuściliśmy je i zaczęliśmy odwrót. Szliśmy przez dnie wzdłuż Wisły na południe, stając na noc po wioskach. Kupowaliśmy w domach chleb i ziemniaki, przeszliśmy Pacanów i mieliśmy przeprowić się na Szczucin, ale tutejszy most na Wiśle był wysadzony w powietrze. Szliśmy więc dalej. Szedł kto mógł, a kto nie mógł, zostawał. Tak został mój kolega Wiącek. Szli Bajek, Maliborski, Sidor, Wyka. Podobno Ozga z Porąb został zabity przez Kozaków. Szliśmy na Korczyn i nie wiem nawet w jakim miejscu przeszliśmy Wisłę po moście i byliśmy znowu z wielką radością w Galicji. Był to chyba ósmy listopad. Przechodziliśmy miasta i wieś porozwala-lane, porujnowane, z powycinanymi drzewami dla lepszego widoku i szliśmy do Krakowa. Ludzie byli dla nas dobrzy i menaż też dostawaliśmy. Z pięknego Krakowa skierowano nas do miasteczka Tęczynek pod Krzeszowicami. Ruscy byli już w Galicji po raz drugi i zbliżali się do nas od północy. Przed Tenczyn-kciem kazano nam zjeść konserwy, spodziewaliśmy się więc bitwy. Ale na szczęście nie doszło do niej, bo my byliśmy bezsilni. Ja dowlokłem się tutaj o kiju. Dano nam dwa dni odpoczynku, jedzenie i piwo. Żona górnika, w której domu stanąłem, wyprała mi bieliznę. Poszliśmy sobie dwa razy do kościoła, raz wieczór, drugi raz rano na mszę świętą. Tak dawno nie byłem w kościele. Tak błogo było mi w nim na duszy. Gorąco prosiłem Boga o dalszą opiekę i pomoc.

Trzeciego dnia zebrano nasz batalion i posłano na północ, pod Skagę. Patrole kozackie uciekały przed nami. Bolała mnie noga i było mi ciężko. W nocy wróciliśmy z powrotem. Wnet wymaszerowaliśmy całkiem, po raz trzeci do Królestwa. Pierwszego dnia na pograniczu okopaliśmy się. W nocy miałem służbę na

przodzie. Gdy, po rannej kawie, wyszliśmy z okopów, przez cały dzień dowódcy przeganiali nas to popychając naprzód, to cofając w tył. To kopaliśmy dekunki, tośmy je opuszczali. Patrole kozackie pokazywały się nam, nasze patrole wysłane uciekały przed nimi. Ludzie z wiosek uciekali z płaczem. O zmroku poszliśmy naprzód, sypiąc strzałami. Trwały one krótko, bo Moskale uciekali. Zebraliśmy się pod dworkiem i leżeli. Mały oddział przeszukiwał budynki dworskie. Niedaleko coś paliło się. Za chwilę poszliśmy dalej i dotarliśmy do wioski. Niektórzy żołnierze wchodzą do domów. Nagle pada komenda - Halt! Zurik! Stój Powrót. W domach byli Rosjanie. Ci nasi, co do nich weszli, dostali się do niewoli. Wnet Ruscy wyskakują i strzelają. Odpowiadamy tym samym i cofamy się. Zebraliśmy się w jakimś miejscu i przeczekaliśmy noc, okopawszy się. Rano Moskale podszli nas i zaatakowali. Strzelaliśmy. Przyszła nam na pomoc rezerwa z innego pułku. Ogień, nie na żarty, trwał przez dwa dni. Nasza artyleria mało się odzywała. Wieczorem drugiego dnia nasze rezerwy, stojące na prawo od mojego plutonu poszły po szwarmlinii, do ataku. Nagle posypał się na nich grad granatów. Ziemia leci w powietrze, dymy przesłaniają pole. Straszny widok. Większość atakujących polega rozszarpana, po chwili huraganowy ogień nieprzyjacielski spada na nasze dekunki. Granaty wyją, kule świszczą. My rzucamy się do ucieczki. Zdrętwiali, przerażony, ostatkiem sił biegłem po bojuisku, myśląc tylko o tym, żeby się ocalić. Obok mnie leciał fenrik (chorąży) Gawel. Wśród huku ginął krzyk rannych. Wyostałem się poza pole obstrzału, dziękując serdecznie w duchu Panu Bogu. Myślałem o kolegach z moich stron. Potem dowiedziałem się, że Jambrozik został ranny, a nie wiadomo co się stało z Sidorem, Wyką i Żyłą. Został mi tylko jeden towarzysz, Chudzik. Znalazszy się koło jakiegoś domu wstąpiłem do niego i posiliłem się kawałkiem chleba i garścią gruszek. Ludzie skarżyli się na Węgrów, że rabują. O zmierzchu zaczęli nas zbierać. Ja znalazłem się, na trochę, aż w 18 pułku, gdzie oberst czyli pułkownik był bardzo zacnym człowiekiem. A staliśmy w tamtym miejscu jeszcze dwa dni. Były szturm i bitwy. Jeden szturm zrobiła marszkompania dziewiętnastoletnich rekrutów. Zostali zniszczeni. My w dekunkach okrywaliśmy się słomą, bo przyszedł pierwszy większy mróz. Ale zafasowaliśmy nowe buty i kożuszki. Jeść nam dawali tu najwięcej za cały dotychczasowy wojenny czas. Przyjeżdżały kuchnie. Wysyłali nas na patrole i feldwachy. A ja miałem wielki katar. Dużo ludzi wyginęło, z dwóch kompanii robiono jedną i to nie pełną. Aż pewnej nocy dostaliśmy rozkaz odwrotu. I tak po dwóch tygodniach przewojowanych w Królestwie Polskim wracaliśmy znowu z końcem listopada do Galicji. Tu przez dwa dni byliśmy w jakiejś wiosce, a potem przyszliśmy do Krakowa. Staliśmy w fortach pod kopcem Kościuszki, aż trzy tygodnie. Odpoczywaliśmy. Byliśmy w łaźni, dostaliśmy nową bieliznę, a od cywilnych pań dary: rękawice, kominiarki, manszety, inne drobne przedmioty. Zaszczepiono nas przeciwko cholercie. Pochodziliśmy trochę po kościołach i mieście. Ale jedzenia było mało. Kupowaliśmy chleb.

Potem pomaszzerowaliśmy za Kraków do miejscowości Piaski. Byliśmy tam przez kilka dni, zawsze w pogotowiu, bo front był niedaleko. Słyszeliśmy huk armat. Wtedy to nasi odparli przeciwnika od Wieliczki. Zaprowadzono nas do Podgórze, załadowano na pociąg i wieziono przez Kalwarię, Suchą i Maków Podhalański. Wysadzono nas w miejscowości Dobra pod Limanową. Spotkaliśmy Niemców i wielu rannych idących tam, skąd myśmy przyjechali. Byłem bardzo osłabiony, a tymczasem dano rozkaz ruszania w drogę. Poszliśmy uciążliwą drogą pod górę. Ściemniało się, wysłaliśmy więc strażę i przespaliśmy się na łupkach

drzewa. Rano, a był to chyba 12 grudnia, poszliśmy na drugą górę pod ogień nieprzyjacielski. Strzały karabinowe, armatnie i szrapnele, dudniły i gwizdały po gałęziach drzew. Padali zabici i ranni. Z moich stron zginęli: Cisek i Maliborski. Potem przyszła nasza artyleria górską i wykurzyła wroga. Po tygodniu uchodził on na Czchów, Zakliczyn i Tarnów, a my posuwaliśmy się za nim. W drodze przed rozwalonym mostem na Dunajcu, widziałem się ostatni raz z Ludwikiem Dułem. Ludzie cieszyli się naszym widokiem, zapraszali do domów i częstowali, czymś najlepszym co mieli.

Po pięciu dniach marszu Moskale stawili opór pod Tarnowem. My zajęliśmy pozycję koło Wiśnicza. Artyleria nasza i nieprzyjacielska prażyła, aż się ziemia trzęsła. Byliśmy oczywiście okopani i zbyt wielkich strat nie mieliśmy. Ale pocisk rozszarpał nawet sanitetów niosących rannego. Straciliśmy 30 ludzi z pułku. Po spędzonych tu trzech dniach i nocach zlizowały nas inne oddziały. Nasz pułk pomaszerował przez Tuchów na Biecz, potem do powiatu jasielskiego. Były tu ciężkie walki zwłaszcza w wigilię Bożego Narodzenia. Moja kompania nie miała strat, w innych było gorzej. W nocy na św. Szczepana cofnęliśmy się do wsi Olszyny i Moszczenica. Potem zajęliśmy lasek koło Sietnicy. Widziałem tu Wojtka Katę i Kolano z Porąb. Wysłano mnie z pewnym zapytaniem do obersta (pułkownika). Zobaczyłem honwedów, ugrupowania węgierskie, podporządkowane ich ministerstwu obrony narodowej i nasz nowy marszbatalion z młodymi rekrutami. Byli wśród nich z moich stron: Kobylarz, Franek Kolano, Szczepan Matejek i Ziębka. Matejek przyniósł mi tytoniu. W mojej kompanii miałem jeszcze znajomych: Chudzika, Rębisza i Rosoła ze Staniszewskiego i Zielonki.

Rzeczywiście, Moskał nie tylko się zbliżał, ale i otaczał nas pozbierawszy naszych feldwachów. Dla mnie zaś nadchodziła pamiętna noc z 30 na 31 grudnia 1914 r. Niosła ona, niestety, nieszczęśliwy koniec mojego wojowania. Niosła go nie tyle noc, co dzień 31 grudnia. W nocy żołnierze szemrali, że źle z nami, bo słychać strzały z różnych stron, że Ruscy pewnie wezmą nas do niewoli, w pień. Ale nad ranem jesteśmy jeszcze sami i dostajemy rozkaz - naprzód. Poszliśmy do pierwszej linii na skraj lasu, skąd dochodziły nas jakieś krzyki, a tu usłyszeliśmy, że z tyłu nadchodzą jacyś ludzie. Myśleliśmy że to rezerwa. Tymczasem są to Ruscy i krzyczą, żebyśmy się poddali. Niektórzy nasi usiłują się bić wręcz, inni poddają się. Mnie jeszcze udało się ująć niepostrzeżenie w tył. Myślałem, że wymknę się. Zrobiłem jednak tylko kilka kroków i wpadłem na żołnierzy idących z boku, którzy krzyczą coś do mnie. Było jeszcze ciemno i sądziłem, że to swoi odzywają się do mnie. Stałem. A tu obcy dopadli mnie. Jeden wytrącił mi z ręki karabin i wyrzucił z niego patrony, inny odpina mi bagnet i szpadel czyli łopatkę, jeszcze inny coś pyta. Ten co pytał - słysząc, że mówię po polsku, mówi *zaraz* tak samo, że i on jest Polak. Zdrętwiały z przerażenia, że oto staję się jeńcem, ucieszyłem się, słabo, w moim nieszczęściu z tego, że trafiłem na ruskiego żołdaka Polaka, więc może nie stanie mi się krzywda i życia nie postradam. Bałem się, bo tyle się mówiło, że Moskale znęcają się nad jeńcami. Oni jednak widząc mój strach mówią "budiesz żywoj, budiet tobie charaszo". Zabierają mnie. Za parę kroków spotykamy innych moich kolegów. Ruscy robią z nimi to samo co i ze mną.

Och, jak niemiło jest stracić żołnierzowi broń i dostać się do niewoli! Jak smutno mi było w tym lesie, gdzieś koło Sietnicy, gdy zostałem jeńcem. Ogarnął mnie wielki żal i niezadowolenie, że tak głupio dałem się złapać, po pięciu miesiącach wojennej mordęki. Czuję się jak człowiek, który robi coś drogiego,

a tu, po ukończeniu, wypada mu to z rąk i rozbija się. Zniosłem tyle trudów, wędrówek, gorąca i zimna, głodu i niewyspania, bitew, ataków i ucieczek, zmar-twień i smutków - i to wszystko na darmo? I co teraz będzie ze mną dalej? Co ze mną zrobią? Ale dobry duch podszeptuje mi, że wola Boska się dzieje i jego opieka tak dobrotliwa dla mnie dotąd, może i dalej mnie nie opuści.

Zaprowadzono mnie za jakiś dom, gdzie było już kilkunastu naszych. Nieda-leko wrzała jeszcze bitwa i kulki świszczały mi koło uszu. Och, jak mi przykro, że nie jestem już wśród walczących. Jak nieprzyjemnie jest mi iść, rozbrojone-mu, pod obcą bronią. Jak przykro jest jeńcowi popatrzeć w oczy kolegów, rów-nież jeńców. Ale cóż zrobić. Musi się to uczynić.

Za domem, gdzie się znalazłem, zobaczyłem wielu mężczyzn z mojej kompa-nii, szarże i szeregowców. Byli też wojskowi i z różnych kompanii. Stał smutno kapitan Ekier, lejtנננnci Zemann i Prinz, stali fenrik Kotula, cugsfirerzy Brei-fogel, Zajdel, korporale Widuch, Libermann, gefrajtrzy Gicza i inni. Policzyli nas, a było stu sześćdziesięciu "plennych". Ale później stale doprowadzano no-wych naszych nieszczęśliwych, w tym licznych Madziarów. Zabrano też konie naszego regimentu i batalion sztabu.

My, policzeni, rozbiliśmy się na grupki według szarż i poczęliśmy rozmawiać po cichu, zwłaszcza o przyczynie naszej klęski. Niektórzy mówili, że honwedzi przepuścili Ruskich i stąd dostali się oni na nasze tyły. Dowiedziałem się, że kadeci Czernią i Gawel zostali ubici. Nie wiedziałem, co się stało z moimi kra-janami: Chudzikiem, Rębiszem, Rosołem. Nie przybywali do nas, chociaż stale doprowadzano nowych naszych rozbitków. Staliśmy dzień i noc na podwórzu za domem, gdzie nas zaprowadzono. Ludzie podali czasem nam trochę jedzenia. Potem popędzili nas do innej wsi, gdzie stało komando czyli dowództwo pułku czy dywizji. W drugim czy trzecim dniu nasz jeniecki transport wynosił już dwa i pół tysiąca osób.

Potem szliśmy znowu cały dzień i pół nocy, wśród ogromnego błota. Dręczyły nas, głód, zimno i ogromny smutek. Zmęczonych zakwaterowano nas w jakimś spalonym browarze, chyba w Szerzynach. Rzuciliśmy się na gruzy jeden na drugim i odpoczęli przez kilka godzin. Zimno nie dawało spać. Kości pocierpły i przemarzły.

W dzień Nowego Roku 1915 rano zaprowadzili nas konwojenci na cmentarz przy kościele, w którym ksiądz odprawiał mszę św., co podniosło nas trochę duchowo. Potem poszliśmy dalej. Szliśmy dniami a czasem i nocami *przez* Jo-dłową, Pilzno, Ropczyce, Sędziszów, Rzeszów, Łańcut, Przeworsk, Lubaczów, Horyniec, Rawę Ruską do Lwowa. Nocowaliśmy w Ropczycach w koszarach ar-tylerii, w Sędziszowie w stajni dworskiej, w Rzeszowie w koszarach 40 pułku, w Łańcucie w gimnazjum, w Przeworsku w cukrowni, w Jarosławiu w koszarach, w innych miejscowościach po domach prywatnych. Z kolegów spotkałem się z Piotrkim Wiąckiem i odtąd trzymaliśmy się razem. Szliśmy do Lwowa, pieszo, przez czternaście dni. Przechodziłem znowu tak blisko moich rodzinnych stron i nie miałem odwagi uciekać z jenieckiego orszaku. A przecież trzeba było próbować, a nie iść posłusznie w pień, na niepewny los. We Lwowie zatrzymaliśmy się w koszarach na Łyczakowie. Już po połowie stycznia zawieziono nas pociągiem po siedemdziesiąt dwie osoby w wagonie do miasteczka Radziwiłłów. W tym marszu minęliśmy granicę Galicji i carstwa rosyjskiego. Z Radziwiłłowa znowu wieziono nas koleją przez dwie noce i dzień do Kijowa. Tu umieszczono nas przeprowadziwszy przez piękne miasto, w jakimś browarze, pełnym niechlujstwa i wszy. Spisano nas z nazwiska, narodowości, miejsca zabrania i musieli-

śmy oddać tornistry, szelki, celty i inne posiadane jeszcze przedmioty wojskowe.

Chyba 20 stycznia wyjechaliśmy pociągiem z Kijowa i jechaliśmy na wschód. Zima była ostra, wielkie śniegi i mrozy. W drodze głód i chłód. Im dalej jechaliśmy w głąb Rosji, to widzieliśmy coraz mniejsze miasta, a wsie jeszcze gorsze. Domki małe, niskie, kiepsko zbudowane. Jechaliśmy osiem dni przez wielkie lasy i z tydzień przez różne tereny. Były na nich i wysokie nagie góry ze śniegiem. Jednego dnia każą wychodzić z pociągu i czekać na inny. Gdy wzięto mnie do niewoli miałem pięć koron austriackich pieniędzy. W Rawie Ruskiej zamieniłem je na pięć rubli i w drodze kupiłem sobie coś do jedzenia.

W miejscowości, gdzie nas wysadzono, na początku lutego, było ciepło i śniegu leżało niewiele. Na żółtawej ziemi rosła gdzieniegdzie trawa i sterczały dzikie krzewy. Jeszcze dwa dni jazdy i widzimy tereny piaszczyste. Pasą się stada koni, krów wielbłądów i owiec. Kilkanaście domów tworzy przy stacji miasteczko, a w okolicy widzi się, gdzieniegdzie, po 2-3 lepianki z ziemi krajowców, ludzi o żółtej cerze i skośnych oczach. Są to Kirgizi, czy Saratowie, Turkmeni i Uzbegy. Robią w polu, ale w śmieszny sposób. Koń jest zaprzęgnięty w jarzmo razem z krową czy osłem, a pług jest podobny do naszego radła. Stajenia pola są obwałowane i zalane wodą. Będzie więc na nich sadzony ryż. Mężczyźni i kobiety jeżdżą na wierzchu na komach, osłach i wielbłądach.

Miejscowość, do której nas przywieziono nazywała się Aszhabad. Leży ona w krainie nazywanej Turkiestan, o kilka wiorst od granicy perskiej, wśród wysokich gór. Umieszczono nas w byłych koszarach wojskowych obchodzono się nami nieźle, chociaż karmiono lichem. Ale i roboty nie żądano, tylko koło siebie i dla siebie.

Wnet po nas, w marcu, przyjechali następni jeńcy. Byli wśród nich chłopcy z moich stron: Adamczyk z Wilków, Materia z Zielonki, Sondej z Mazurów i inni ze Staniszewskiego i z Lipnicy. Miałem przyjemność spotkać się z nimi. Życie tu, początkowo nie wydawało mi się tak okropnie nudne jak później. Ja cieszyłem się spokojem, przyglądałem się nowym ludziom i dokupywałem sobie jedzenia za posiadane pieniądze. Ale już w kwietniu w okresie Świąt Wielkanocnych, zaczęła mnie opadać tęsknota za krajem i chmara ciężkich myśli. Starłem się im nie poddawać, pocieszać się, że wojna wnet się skończy i wrócę do domu. Szukałem też pociechy w modlitwie i w rozmyślaniach o moich stronach rodzinnych, o znajomych i dotychczasowych przeżyciach. Myślałem stale o ojcu, matce i rodzeństwie, co też oni porabiają i czują.

W maju zaczął się w Aszhabazie ogromny upał. W południe wydawało się, że zar bucha z nieba. Ziemia parzyła i nie było czym oddychać. Chodziliśmy tylko w bieliźnie i to spoceni. Nie można było spać w nocy. Deszcz pokropi tylko czasem, raz na miesiąc, grzmoty posiadają tu całkiem inny odgłos niż u nas, wody brak, trawa zupełnie usycha. I ludzie usychają, umierają szybko, nie wiadomo na co. Przez wiosenny okres pochowano tutaj ze dwustu naszych. Mnie Bóg ma jakoś w swojej opiece. Są tu wśród naszych i księża. Jest i kościół polski. W wielkim tygodniu byliśmy u spowiedzi. Organista zaczął śpiewać pieśń, a my podchwyciliśmy ją niezbyt silnymi głosami. Pieśń śpiewana często przez Polaków o słowach: "Boże Ojcze Twoje dzieci, płaczą, żebrzą lepszej doli. Rok po roku marnie leci, my w niewoli, my w niewoli" - wzruszyła nas. Myślałem, jesteście tak daleko, setki mil od ziemi polskiej i ślemy do Wszchemogącego te nasze bóle, zale i nadzieje. Może już niedługo w tej niewoli.

W czerwcu w Aszhabazie zaczęto mówić o naszym wyjeździe. Niektórych

zaczęto już wywozić - ale gdzie? Może do domu. 12 lipca wieczór zaprowadzono nas na stację i załadowano do pociągu. Adamczyk został z jakimś oficerem jako pucer, Sondej też, tylko w innej robocie. My po trzech dniach jazdy na wschód, stanęliśmy w Taszkencie, dużym i ładnym mieście, a potem jechaliśmy dniami i nocami przez Aralsk, Orenburg leżący u stóp gór uralskich na granicy Europy i Azji, Samarę, Tułę pod Moskwą, Kaługę i 25 lipca wysiedliśmy we Wiaźnie, w guberni smoleńskiej. Okolice Taszkentu były jeszcze bardziej zamieszkałe. Miasto leży nad wielką rzeką Syr-Darią. Nawadniane pola uprawia się, ale zboża są tu liche. Ludzie młóca je, przeganiając bydło po kłosach. Często widać pola bawełny i winnice. W Taszkencie oprócz tubylców mieszka dużo Europejczyków. Wnet za nim zaczynają się pustynie, lotne piaski porośnięte dzikimi krzewami. Potem jest trochę lasów, a za Orenburgiem widać ogrody i pola uprawne, na których sterczy las żurawi studziennych. Rolnictwo istnieje znowu dzięki nawadnianiu. Za Samarą przejeżdżaliśmy długi most na Wołdze. Tu rozwiały się nasze nadzieje, że może jedziemy do domu. Pociąg zamiast na zachód, kierował się na północ. Wojna trwała dalej i dużo rekrutów jeszcze nie umundurowanych ciągnęło w stronę frontu. Gdzieś spotkaliśmy grupę cywilów z Galicji, przeważnie Żydów i Polaków z guberni chełmskiej, uciekających jak opowiadali przed pożogą wojenną. W dniu 29 lipca wyjechaliśmy z Wiaźny i znowu jechaliśmy w nieznaną, aż 31 dnia tego miesiąca wysadzono nas w mieście Narwa w guberni estlandzkiej. Ludzie chyba z całego miasta wylegli, żeby nas zobaczyć, przyniosłszy z sobą co mogli, żeby nas obdarzyć. Ale policja ich odpędzała. Ja byłem słaby i smutny, chociaż pocieszałem się, że stąd mamy bliżej do domów, jak z Aszhabadu. Udało mi się też zamienić posiadane dwie korony na sześćdziesiąt kopiejek.

Następnego dnia wieziono nas jeszcze około dwadzieścia wiorst i wysadzono na stacji Korf, niedaleko od zatoki Morza Bałtyckiego. Ulokowano nas w ziemiankach, w miejscowości Wajwara, trzy wiorsty od stacji. Wsi tu nie ma, tylko nasze jakieś osiedle. Okolice lesista i błotnista. W oddaleniu jest kilka domów drewnianych, dobrze zbudowanych, krytych gontem. Ludzie mówią swoim tutejszym językiem, całkiem innym niż te, które dotychczas poznałem, a żyją dostatnio i noszą się z pańska, jak u nas koloniści niemieccy i mają wyższy poziom kulturalny niż narody Rosji.

Tu pilnujący nas Rosjanie chcieli nas użyć do kopania dekunków, aleśmy się oparli, chociaż straszili nas rozstrzelaniem co piątego. Pędzą nas jednak do pracy w lesie, do ścinania i oporzadzania drzew i trochę do pomocy w pobliskich gospodarstwach rolnych. Żniwa żyta zaczynają się tu dopiero w drugiej połowie sierpnia, jęczmienia we wrześniu, a owsa jeszcze później. W stodołach mają piece, palą w nich i tak suszą zboże, bo we wrześniu pogoda jest u nich taka, jak u nas w październiku: mgły, wiatry, zimno, że kozuch trzeba ubierać. A tu gospodarze mają jeszcze sianokosy. W tym klimacie czuję się jednak zdrowszy, niż tam na południu. Chodzimy do roboty i płacą nam dziesięć kopiejek na dzień.

W dniu 29 sierpnia był u nas polski ksiądz z Narwy z nabożeństwem. Dowiedział się o nas z pogrzebu Jana Bawora. Chwila pociechy. Na drugą niedzielę przyjechał inny ksiądz, Trzeciak. Przemawiał do nas, pocieszał nas i dał nam po kawałku bielizny, papierosy a niektórym i książeczki do nabożeństwa. Tak to mamy i księdza - Polaka. A my przypuszczamy, że na zimę zapadnie spokój, chociaż jacyś jeńcy - Czesi, zabrani do niewoli w czerwcu tego roku mówią, że



u nas w krajach austriackich biorą do wojska mężczyzn do pięćdziesięciu dwu lat. Co tam słycać w mojej wsi z krewnymi i znajomymi?

Koło św. Michała mamy zbiór owsa i grochu. Co dwa dni są pogodne, to potem pada deszcz przez dwa tygodnie. Około 20 października spadł duży śnieg i zaczął się mróz. Ale prawdziwa zima zaczęła się w końcu listopada. We Wszystkich Świętych większość z nas pracowała, ja nie. 7 listopada był znowu ks. Trzeciak z nabożeństwem i przywiózł nam trochę bielizny, butów, skarpetek, ubrań i 25 rubli. Obiecał, że jakiś ksiądz będzie przyjeżdżał do nas co dwa tygodnie i dawał różne napomnienia.

W dniu 21 listopada pierwszy raz robiliśmy przez cały dzień bez menaży. W gazetach piszą o staraniach pokojowych, ale nic z tego nie ma. W połowie tego miesiąca napisałem listy do domu. Może dostanę odpowiedź. W grudniu zima ostra. Śniegu po kolana i mróz ponad trzydzieści stopni. Nie wiem dlaczego akuratnie żądają od nas dużej roboty, od świtu do nocy, bez obiadu, a także i w niedzielę. W dniu 5 grudnia mieliśmy mszę św. Przed Bożym Narodzeniem nie chodziłem do pracy, bo miałem podarte spodnie. Świąt mieliśmy cztery dni, w wigilię Bożego Narodzenia, św. Szczepana i Nowy Rok. W św. Szczepana kilkunastu naszych robiło jednak odgarniając śnieg przy kolejce. Wieczór wigilijny i święta miałem bardzo smutne, chociaż w św. Szczepana odwiedził nas ks. Trzeciak. Przywiózł nam opłatek, bułki, polskie gazety i książki do czytania. Odprawił mszę św., składał życzenia i podnosił na duchu. Bóg mu zapłać.

Potem zaczął się nowy 1916r. W dniu 3 stycznia ks. Trzeciak znowu nas odwiedził. Przywiózł ubrania i broszurki. Oby otrzymał zapłatę za swoje starania i trudy. Na ruskie święta, w dniu 7 stycznia mieliśmy trzy dni wolne. Boli mnie żołądek, nie mam apetytu i czuję się słaby. W dniu 30 stycznia był u nas jakiś młody ksiądz, nie ks. Trzeciak, spowiadał nas i też przywiózł nam bieliznę, skarpetki, rękawice.

W dniu Matki Boskiej Gromniczej nie pracowałem. Ona chyba sprawiła, że żołdat wyrzucił mnie z roboczego cugu, świętowałem i odpoczywałem. W lutym większe mrozy, ale zabrali kolejkę wywożącą drzewo, więc robota, zwłaszcza nocna, ustała. Napisałem znowu do domu, ale nie dostaję odpowiedzi. Tymczasem prawie co noc on mi się śni, razem z wszystkimi krewnymi i znajomymi.

W marcu mróz 25 stopni, a życie jak i przedtem. Z początkiem kwietnia mróz spada, śnieg rzednieje i taje. Potem ginie. Roboty jeszcze nie ma. Pierwszy dzień Świąt Wielkanocnych był prawdziwie wiosenny. Mieliśmy spowiedź, nabożeństwo i ksiądz sam zapłakał, mówiąc do nas. Zaśpiewaliśmy "Wstał pan Chrystus z martwych... Alleluja, Alleluja!". Mieliśmy prawdziwe święto. Za nasze czterdzieści kopiejek dostaliśmy po dwa jajka i kawałku słoniny. Po południu byłem nad morzem. Tak mi przykro, że nie mam żadnej wiadomości z domu. Inni je otrzymują, a ja wciąż nie i nie. Sprawia to, że nic mi się nie chce. Tak bardzo przykrzy mi się za nimi. Ale muszę trwać.

W maju zaczęły się roboty w polu, chociaż po pierwszym wiosennym deszczu znowu bardzo się oziębiło, przyszły śnieżyce i ponad trzy stopnie mrozu. Roboty trwają. Robimy codziennie, a nieraz i w niedzielę. Wikt coraz gorszy. Ryba, której nie można jeść i trochę zupy. Jest nas w obozie 280 ludzi. Nikogo swojego. W nocy śnią mi się bliscy i pogrzeby. Maj zimny do końca. W drugi dzień Zielonych Świąt przybył ksiądz z Narwy. Pokrzepił nas słowami i zachęcił do trwania we wierze i modlitwie. Przywiózł trochę bielizny i ubrań.

W święto Bożego Ciała, w czerwcu, robiłem w ogrodzie. Wtedy tu jeszcze sieją i sadzą ziemniaki. Plewiłem kapustę. Cieszyła mnie ta praca. Pisałem też dużo

listów do krewnych i do znajomych, chcąc koniecznie dowiedzieć się co u nich słycać. Później parę razy kapałem się w morzu.

W lipcu noce są tu krótkie i widne od zorzy, że prawie przez całą noc można było dobrze czytać. Po wpół do dziesiątej wieczór słońce zachodzi, a o trzeciej wschodzi. Ja tak pragnę dostać jakąś kartkę czy list - i nie, nie dostaję. Dlaczego nie mam tego szczęścia? Inni, co mało piszą, mają odpowiedzi - a ja nie. Chwilami jest mi tak ciężko żyć, że jestem zły na całe swoje otoczenie i ani słowa do nikogo wypowiedzieć mi się nie chce. Wspominam tylko w samotności przeszłość, nawet wydarzenia z lat chłopięcych i to przynosi mi trochę ulgi.

W święto Matki Boskiej Zielnej robiłem przy cebuli. Niektórzy twierdzą, że może nawet będziemy wyjeżdżać do domu? Dnia 5 września nareszcie dostałem pierwszą kartkę od mamy. Napisał ją ksiądz Broda. Miał szczęśliwą rękę i jego pisanie doszło do mnie. Och, jak wielką radość mi sprawiło, chociaż wiadomości dostałem smutne. Ojciec zmarł. Już go nie zobaczę, nie usłyszę. Poszli na wojnę mój brat i bratankowie. Dobrze, że szwagier jest w domu, to matka i siostry mają opiekę. Obym zobaczył ich jeszcze kiedyś.

Nastąpił wyjazd. 7 października pojechaliśmy na stację Korf, a stąd jechaliśmy przez Gałczyn, Ługę, Psków, Dźwińsk i po dwóch dniach wysiedliśmy w Krasławce w guberni witebskiej. Dzięki Bogu. Znowu przybliżyliśmy się do ziemi polskiej. Przenocowaliśmy i szliśmy pieszo przez szereg miejscowości, aż zatrzymaliśmy się w Paszkowie, w Dziśniajskim Ujaździe guberni wileńskiej. Jesteśmy blisko Wilna, znanego z historii Polski. Używają nas do budowy ziemianek, ale wikt strasznie lichy. Trochę chleba, ryby i wody. Jeńcy nasi chodzą pomiędzy żołdacy, lecz nie wolno żebrać i kupować chleba. Czasem uda się jednak dostać coś za darmo od dobrych ludzi, którzy tak często mówią po polsku.

Tu znowu jesteśmy przy froncie. Dniem i nocą grzmia armaty i latają aeroplany. Wielu naszych próbuje ucieczki. Niektórym to się udało, innych złapali, przyprowadzili i bili. Kwaterujemy po domach i stodołach. W końcu listopada umieszczono nas w ziemiankach. Zimno. Ta woda, którą pijemy, to jest niby zupa, zaprawiona czasem ząbkiem mięsa czy ryby, łyżką kaszy, a czasem i bez niczego. Cukru dostajemy kostkę na dzień. Sił nie mamy żadnych, ledwie żyjemy, ledwie łazimy. A tu o pokoju ani mowy. Kiedy ta wojna się skończy?

Z początku mieliśmy okropne wody i błota. Teraz w grudniu zamrzły, to lepiej. 8 grudnia świętowałem, ponieważ buty mam stargane. Przyszły święta Bożego Narodzenia. Trzecie w czasie wojny. W zaszłym roku, będąc koło Narwy, składaliśmy sobie życzenia spędzenia drugich świąt w domu. A tu dalej jesteśmy w pień i na obczyźnie. Ogarnia nas rozpacz, chociaż coś mówi w duszy, że kiedyś musi się to skończyć. Tylko cierpliwości, cierpliwości.

W św. Szczepana dostałem kartkę od kuzyna. Sprawił mi radość. Dzięki mu za to. Zima jest tu prawie taka jak i u nas. Na ruskie święta mieliśmy dwa dni wolne. W tych dniach dużo mówią o pokoju. Nawet oficerowie "gawarają" nam, "skoro mir, skoro domoj". Oby tak było. Znowu Nowy Rok. Rok 1917. Co nam przyniesie. Nie mam żadnej siły o tym chlebie i wodzie. Czuję, że marnieję. Boję się, że nie wrócę do mojej ziemi: Boże zmiłuj się!

W dzień Matki Boskiej Gromnicznej świętowałem, bo byłem maruder. W lutym - a już i przy końcu stycznia, jest tu ostra zima, a ja odmroziłem sobie palce. Z początkiem marca zima trwa dalej. Buty trzeba sobie owijać szmatami. Robota ciężka, akordowa, noszenie drzewa i faszyny na budowaną drogę. Drożyzna wielka. Funt czarnego chleba niedawno kosztował dziesięć kopiejek, a teraz płaci się za niego siedemdziesiąt pięć kopiejek. Funt słoniny dwa ruble.

A tu nam nic nie dopłacają. A wojna trwa. "Czechosłowianin" pisze, że u nas powołują pod broń wszystkich mężczyzn od 15 do 65 lat. Kiedy to się skończy. Och. Na początku marca przestała przychodzić do nas poczta. Wnet dowiedzieliśmy się, że to z powodu rewolucji w Piotrogradzie, że car zwołany z tronu i Rosja będzie republiką. Co to nam przyniesie? Boże zmiłuj się. Daj pokój.

Z końcem marca pocieplało i byliny ukazują się spod śniegu. Roboty jest zawsze dużo, a o jedzenie nie ma się kto starać. Na nasze skargi odpowiadają, że ich jeńcy u nas mają jeszcze gorzej. Czy to prawda? Jestem chory na żołądek i mam kurzą ślepotę. Jestem tak słaby, że zdaje mi się, że wnet razem z życiem, skończy mi się ta cała udreka. Boże, Boże, Boże!

W dniu 1 kwietnia, niedziela, dzień piękny wiosenny. W lesie śnieg jest jeszcze do kolan, ale wiosnę czuć w powietrzu. Robimy przy faszynie. Tęsknota w sercu znowu się powiększa. Wielkanoc. Cały Wielki Tydzień nie pracowałem, bo miałem podarte buty. Tu, bliżej ziem polskich, żyjemy jak byśmy byli zwierzętami, bez księdza, nabożeństwa, spowiedzi. Dlaczego nikt o nas nie dba? Świąt - chociaż bez księdza, mieliśmy trzy dni, sobotę, niedzielę i poniedziałek. Rusini też, mieli dwa dni.

Znowu dużo mówią o pokoju. Piszą w gazecie, że na zniwa będą rozpuszczać wojsko do domu. Ale czy tak będzie? Daj Boże doczekać! Żeby nie przyszło spędzić mi tu jeszcze jednej zimy, bo nie wiem, czy bym ją wytrzymał. Ziemiarki są zabójczymi mieszkaniem. A to nędzne pożywienie. Jestem po nim już wycieńczony. Gdy wyjdę na pole to w głowie mi się kręci, nogi płaczą i o mało nie upadnę. Och - i ta długa zima. Dzisiaj 12 maja 1917r., mamy w tym roku pierwszy wiosenny dzień. Wspominam nasze piękne słoneczne maje i przemiłe wieczorne nabożeństwa na cześć Matki Boskiej, śpiewania pod kapliczkami. Dusza mi się wyrwa tam do naszego pięknego kraju, ale ciało tu jest uwięzione.

20 maja, gdy drzewa puszcza listki a mróz szczybie i śnieg prószy, kazano nam iść do stacji Woropajewo. Trzeciego dnia wsiedliśmy do pociągu. Nikt nie mówi gdzie jedziemy, a serce bije żywiej z nadziei, że może do domu! Ale nie, znowu mijamy Dźwińsk, Psków i 26 maja pod wieczór wysiadamy w Narwie. Więc byliśmy na robotach i znowu wracamy do obozu. Nie całkiem do obozu, bo przenocowaliśmy w Narwie, prowadzą nas następnego dnia, w pierwszy dzień Zielonych Świąt, nad zatokę morską do miejscowości Merrckull. Tu zakwaterowali nas w ślicznych domach, w willach letników, bogatych ludzi. Klimat morski, las szpilkowy i całe miłe otoczenie wpływają na nas korzystnie. Tu pewnie trochę wrócimy do sił.

I rzeczywiście odpoczywamy, nie pracujemy *przez* dwa tygodnie. Dostałem cztery kartki od krewnych i znajomych. Poczuję się weselszy. 14 czerwca zaczęliśmy roboty. Ja zostałem posługaczem i robotnikiem u miejscowych gospodarzy. Poza obowiązkowymi godzinami pracy możemy najmować się jeszcze u ludzi, tak prywatnie. Za obowiązkową pracę płacą nam dziennie po piętnaście kopiejek. Ja w lipcu kosiłem dodatkowo siano u gospodarzy i zarobiłem kilkanaście rubli. Mogę więc dokupić sobie ziemniaków, zwanych tu kartoflami, sprzedawanych po 2-3 ruble za kilogram czy mleka po 30-40 kopiejek za litr. Chleba ludzie sami nie mają, ale jakoś jest trochę łzej. Mówią jednak, że wnet jeszcze gdzieś pojedziemy. Boże - dokąd?

I wyjechaliśmy chyba 18 sierpnia. Jechaliśmy przez Wizenberg i Jurów, wysiedliśmy na stacji Wałk i szliśmy trzynaście wiorst, do miejscowości Ernes w guberni inflanckiej. Zakwaterowano nas w karczmie. Tutejsi ludzie to Łotysze - luteranie. Chodzimy do roboty w gospodarstwach rolnych po kilka wiorst tam

I z powrotem. Wikt mamy lepszy niż pod Wilnem. Dopóki ziemniaki rosną w polu, to pomagamy sobie nimi. Letnie miesiące przechodzą łżej. Dostałem w nich 2 czy 3 kartki z kraju. Często śni mi się dom, ale jakoś mniej myślę o nim, jak dawniej. Zbliża się znowu zima i będę musiał ją tu przepędzić.

28 października. Dostajemy jakieś gazety. Dziś też otrzymałem pieniądze. Sześć rubli i siedemdziesiąt kopiejek. To dużo. Nie wiem kto mi je przysłał, bo nie mam kartki. A towary stale drożeją. Machorka najpierw kosztowała pięć, sześć kopiejek, a teraz półtora rubla, masło sześć - siedem rubli za kilogram, mleko - pięćdziesiąt kopiejek za litr, zapalki osiemnaście kopiejek, ołówek chemiczny - trzydzieści pięć kopiejek. Nasz płaszcz wojskowy kosztuje pięćdziesiąt rubli.

17 listopada. Dochodzą wieści o jakiejś rewolucji. Dostałem list od J. Sidora i znowu od kogoś sześć rubli i siedemdziesiąt kopiejek. Razem z tymi przesyłkami pobierałem około trzydzieści pięć rubli.

Grudzień 1917r. Wiemy, że nastąpiło zawieszenie broni pomiędzy państwami centralnymi a Rosją, że zaczęły się rokowania pokojowe. Boże daj, żeby wojujące państwa zawarły pokój. Nasza robota ustała z powodu tych rokowań. Nadchodzą kolejne Święta Bożego Narodzenia. Ja dalej w niewoli.

Rok 1918 zaświtał nam razem z nadzieją na pokój. Boże - kiedy on będzie? Kiedy nastanie koniec naszej pokuty!

Około Trzech Króli jest mróz trzydzieści pięć stopni. Przybył do nas Matuła z Gutów spod Sokołowa. Przekazał mi trochę wiadomości o moich byłych kolegach z wojska. Poczty żadnej nie dostajemy.

Dnia 10 lutego po południu dostajemy wiadomość, że pokój jest zawarty. Cieszymy się. Potem dowiadujemy się, że to nieprawda, że Niemcy biją Rosjan. Ci uchodzą w głąb kraju i nas też gotują do drogi na Psków. Ja i dwaj moi koledzy postanawiamy, że my już nie pójdziemy na wschód, że trzeba nam uciekać z niewoli, dążyć ku swoim. W niepewnej chwili, 20 lutego w nocy uszliśmy z Ernes we trzech: ja, Pielą i Stawarz. Ruszyliśmy w nieznaną, w kierunku Niemców. 23, w jakiejś miejscowości chyba w Renczen, spotkaliśmy Niemców. Nie zwrócili na nas uwagi. Idziemy w kierunku Rygi. Przyszliśmy do niej 28 lutego, spotkałem się tutaj z Puziem z naszej wsi i dowiedziałem się wiele o moich bliskich, a także i o tym, że Niemcy zagarnęli moich towarzyszy z obozu w Ernes, których nie zdążono wywieźć do Rosji i mnóstwo Rosjan jako jeńców.

Przez cztery dni kręciliśmy się po Rydze przyglądając się tysiącom kwatrujących tu Niemców i Austriaków. Potem 4 marca wyjechaliśmy pociągiem i po trzech dniach podróży wysiedliśmy w nocy we Włodzimierzu Wołyńskim. Tu spędziliśmy prawie miesiąc i dopiero 2 kwietnia wsiedliśmy znowu do pociągu i przyjechaliśmy do Przemyśla. Och, jaka radość ogarnia nas na myśl, że jesteśmy swobodni, wyzwoleni z "plenu" i wracamy do domu.

Musieliśmy jeszcze krążyć trochę po naszej Galicji nim 28 kwietnia 1918r. znalazłem się naprawdę w Woli Raniżowskiej, mojej rodzinnej wsi i w rodzinnym domu, w objęciach matki.

I w domu tym i we wsi jest teraz jednak jakoś inaczej niż było przed wybuchem wojny. I ja też jestem inny niż byłem wtedy. W domu gospodaruje nie ojciec, lecz szwagier Wilczyński. Jest wojna i bieda, ale wydaje mi się, że pomimo to ludzie w mojej wsi żyją trochę lepiej niż przedtem, że coś się zmieniło i dalej zmienia.

W niewoli podnosiły mnie na duchu myśli o domu, bliskich i tak cieszyła nadzieja powrotu. Teraz ucieszyłem się widokiem matki, sióstr i domowych ścian,

ale wnet poczułem, że nie jestem już z nimi związany, tak jak dawniej. Wkrótce pomyślałem, że nie mam tutaj co robić, że trzeba mi się zbierać i gdzieś iść. Może dlatego, że wojna trwa dalej, a ja nadal czuję się żołnierzem. Czy stanę się cywilem?

## Zakończenie

*Kazimierz Żak stał się jednak cywilem. W listopadzie 1918r. odrodziło się niepodległe państwo polskie. Tworzyło ono swoją armię, która walczyła o ustalenie granic państwowych. Kazimierz Żak już w niej nie służył. W 1919r. ożenił się z Rozalią ze Sojów-Dulową, bezdzietną, wojenną wdową i został panem na kilkumorgowym gospodarstwie, oraz ojcem, w ciągu dziesięciu lat, pięciorga dzieci, czterech córek i syna. Syna Adama urodzonego po wojnie posłał tuż przed drugą wojną światową do gimnazjum. Chciał go kształcić.*

*We wrześniu 1939r. niemiecki atak na Polskę rozpoczął drugą wojnę światową. Niemcy wysiedlili Wole Ranizowską. Kazimierz Żak zamieszkał: w Dzików - cu, obok dzisiejszego GS-u. Patrzył z niepokojem jak jego jedyny syn zaciągnął się w szeregi konspiracji do Armii Krajowej i stanął do walki z Niemcami w czasie akcji "Burza". Miał jednak szczęście jak jego ojciec i wrócił do domu cało. Natomiast zginęła w Niemczech przebywając na robotach jedna z córek Kazimierza. Po wojnie rodzina Żaków wróciła na własne gospodarstwo.*

*Kazimierz Żak zmarł w Woli Ranizowskiej w 1962r. w wieku 77 lat i spoczywa na tamtejszym cmentarzu. Na gospodarstwie jego została najstarsza córka Maria z mężem i dziećmi. Syn Adam skończył gimnazjum, uniwersytet i pracował jako nauczyciel i dyrektor Liceum Ogólnokształcącego w Przemyślu. Dwie młodsze jego siostry też zostały nauczycielkami. Adam Żak, ojciec trzech synów uporządkował ojcowskie wspomnienia. Udostępniono je członkom Towarzystwa Kultury w Kolbuszowej przez jego siostrę Amełę z Żaków-Biesiadecką, zamieszkałą, niegdyś w Kolbuszowej Dolnej, za pośrednictwem H. Dudzińskiej.*